

w większości niezwiązanych z głównym tematem książki. Czy to słuszną koncepcją, można mieć wątpliwości. Chwilami odnosi się wrażenie, że autorka starała się nie uронić żadnego słowa interlokutorów i z przesadną dosłownością przytoczyła wszystko, co zarejestrował dyktafon. Wierny zapis mowy potocznej ma oczywiście swój walor, ale nie decydują o nim powtórzenia, urwane zdania, niedokończone myśli. Ponadto bezkrytyczne przyjęcie wszystkich stwierdzeń i opinii, bez próby zweryfikowania ich czy wyjaśnienia, zawsze niesie z sobą ryzyko powielania wątpliwych informacji.

Z podziwem natomiast można śledzić w tej książce fachowy, wysoce precyzyjny i z najwyższym znanstwem dokonany zapis wypowiedzi w języku ukraińskim lub w typowej we Lwowie mieszaninie polsko-rusińskiej, a przede wszystkim zapis charakterystycznej wymowy tamtejszych Polaków, z owymi: „pudłoga”, „w kuściele”, „putrzebuwała”, „cikawi”, tak miło brzmiącymi dla ucha.

Był dom we Lwowie... uświadamia, jak wiele obszarów tematycznych w tym mieście pozostaje nierozpoznanych, nieopisanych, ilu polskich bohaterów czeka jeszcze na przypomnienie, ile tajemnic na odkrycie, ile szlachetnych wzorców na utrwaleenie. Szkoda, że ta książka jako pozycja wydana przez Fundację Pomoc Polakom na Wschodzie nie podlega dystrybucji i trafia tylko do wąskiego grona odbiorców.

Anna Fastnacht-Stupnicka

Anna Fastnacht-Stupnicka, *Saga wrocławska.*

74 opowieści rodzinne,

wydanie II poprawione i uzupełnione,

Wrocław 2015, ss. 547

Chodząc po ulicach Wrocławia, my, przybysze z całkiem innego grodu, z zaciekawieniem przyglądamy się przechodniom. W przeciwieństwie do mieszkańców naszego miasta, wrocławianie, ci najstarsi, pochodzą skądinąd. Przysłuchujemy się w sklepach, na przystankach mowie tuziemców, spodziewając się, że któryś zaciągnie z lwowska. Wiemy oczywiście, że ulegamy stereotypowi, bo przecież Wrocław po II wojnie światowej zasiedlili nie tylko ekspatrianci z Małopolski Wschodniej. Mamy jednak szczęście: w kawiarni przy sąsiednim stoliku jakaś piękna osiemdziesięciolatka bałaka, jakby wciąż mieszkała na Łyczakowie lub Sygniówce.

Niełatwo poznać dogłębnie mieszkańców takiego miasta jak Wrocław, zwłaszcza jeśli trzeba zdążyć na wieczorny pociąg. W takim razie najlepiej zdać się na kogoś, kto z jego mieszkańców uczynił przedmiot swych wręcz naukowych dociekań. Kogoś, kto stał się jakby ekspertem od wrocławian.

Anna Fastnacht-Stupnicka zna się na wrocławianach wyśmienicie. Najpierw starannie ich wyszukiwała w uniwersyteckich instytucjach i katedrach, w muzeach, galeriach, teatrach. A przede wszystkim w skromnych mieszkankach, w jakich od kilkudziesięciu lat żyje polska inteligencja. Potem prowadziła z nimi długie rozmowy

wy. Szczególnie o ich przodkach, o dzieciństwie spędzonym nie na Dolnym Śląsku, ale niekoniecznie na Kresach Wschodnich. Wreszcie o ich związkach z Wrocławiem, ewentualnie z jego satelitami. Związkach coraz silniejszych z powodu urodzonych już tutaj dzieci, wnuków, a nawet prawnuków. Z tych rozmów zaś wyłoniło się kilkadziesiąt fascynujących historii, którym wrocławianistka umiała nadać formę sagi. Opowieści o rodzinach, toczących się przez dziesiątki, a czasami setki lat.

Początkowo, w latach 1999–2001 publikowała swoje opowieści w „Słowie Polskim”. Potem, w 2005 roku, zebrała je w jedną książkę. Teraz wyszło drugie, rozszerzone wydanie *Sagi wrocławskiej*. Zatem autorka nie zadowala się pierwotną wersją dzieła i co jakiś czas przedstawia jego doskonalszą postać. Sądzymy, że nie wynika to z chęci poprawiania i udoskonalania *Sagi*. Dla pani Fastnacht-Stupnickiej praca nad ową *Sagą* stała się wielką pasją i, jak to bywa z prawdziwymi pasjami, nigdy się nie kończy.

Mamy więc opowieści o kilkudziesięciu wrocławskich rodzinach, niekiedy w różnorodny sposób powiązanych z sobą, a mających korzenie jednak w innym miejscu. Czasami nawet gdzieś w Chinach i Japonii, bo, jak się okazuje, Chiny i Japonia to także może być Polska. Protoplaści wrocławskich gałęzi tychże rodów po II wojnie światowej przybyli do Wrocławia, który po wiekach wrócił do Polski. Każdy z nich na ogół dźwigał ubogi bagaż przesiedleńca. Aczkolwiek to, co miał w sobie, bynajmniej ubogie nie było. „Odarli nas ze skóry, ale duszy nam nie zabrali” — powiada jeden z bohaterów *Sagi*. Reprezentowali bowiem tradycje znamienitych rodów Rzeczypospolitej, zapisanych chwalebnie w historii Polski. Rodzin znanych z dokonań w dziedzinie nauki, sztuki, działalności społecznej, gospodarczej czy politycznej. Niejeden miał już sam poważne osiągnięcia, a wszyscy wiele doświadczeń, które przyniosła Polakom wojna. To wszystko pozwoliło im rozpocząć nowe życie w stolicy Dolnego Śląska.

Spacerując dziś po Wrocławiu, podziwiamy imponujące, europejskie miasto. Poważny ośrodek nauki, sztuki, gospodarki o jednolitej polskim obliczu. A przecież siedemdziesiąt lat temu, za pamięci wciąż jeszcze żyjących ludzi, królowały tu ruiny, zasiedlane przez tułaczy z różnych stron, niepewnych czy dożyją do dnia następnego. Na szczęście otrzymali nie tylko kolejną dobę, ale wiele dalszych lat, podczas których odbudowali i rozbudowali miasto. A że mieli utrwalone w głowach inne wzory aniżeli te, które kazały realizować władze rezydujące w Warszawie, nie mogli przynajmniej nie podjąć starań, by mogli w tym mieście godnie żyć spadkobiercy najwartościowszych dokonań kulturowych.

Może ten czy ów zarzucić autorce snobizm. Na stronach *Sagi wrocławskiej* aż roi się od tytułów, godności, rang. Przecież w powojennym Wrocławiu nie zamieszkało tylko kresowe ziemiaństwo, uczeni i artyści, bo w przeważającej liczbie ludzie wywodzący się ze skromniejszych środowisk, bez których zresztą też nie byłoby obecnego Wrocławia. My jednak tego zarzutu nie postawimy. Pani Fastnacht-Stupnicka nie pisze bowiem o celebrytach, a pisząc o ludziach utytułowanych czy w jakikolwiek sposób wyróżnionych, interesuje się przede wszystkim ich autentycznymi zasługami. W związku z tym jej książka zdaje się akurat na obecne czasy, aby przypomnieć, że wysoka ranga społeczna winna być wyrazem wartościowych osiągnięć.

Obawiamy się ponadto, że *Saga wroclawska* może się stać jedynie lokalnym wydarzeniem towarzyskim. A można w niej wszakże dostrzec wątki uniwersalne, uniwersalne jest bowiem, szczególnie w naszej części Europy, doświadczenie wykorzenienia i zakorzeniania. Dlatego też postanowiliśmy o książce tej opowiedzieć.

Dorota Skotarczak, Grzegorz Pelczyński

Marek Koprowski, *Inna Ukraina: Zakarpacie*
— *tu się zaczyna i kończy Europa*,

Wydawnictwo Replika, Poznań 2014, ss. 206

Gdybyśmy zapytali dzisiaj przeciętnego Polaka, z czym kojarzy mu się termin „Zakarpacie”, przypuszczam, że niewielu naszych rodaków potrafiłoby coś powiedzieć na ten temat. Z zagadnieniem tym postanowił się zmierzyć w swojej kolejnej książce dziennikarz i znawca terenów b. ZSRR Marek Koprowski. Jest ona napisana w formie reportażyowo-publicystycznej i stanowi plon reporterskich wędrówek, odbytych przez autora w ostatnich latach.

Publikacja składa się z dwudziestu dwóch niewielkich, liczących po kilkanaście stron reportaży. Każdy został poświęcony odrębnym problemom, bez poznania których trudno jest nam dzisiaj zrozumieć tę fascynującą krainę. Już na samym początku autor stara się uzmysłowić czytelnikowi, że tytuł *Inna Ukraina* nie jest bynajmniej „literacką przenośnią”, ale rzeczywiście wskazuje na odrębność tego obszaru od reszty kraju. Dowodem na to są nie tylko szlabany na drogach wjazdowych (pokłosie czasów sowieckich, gdy cały obszar pełnił funkcję wielkiej bazy wojskowej), gdzie podróżni są poddawani drobiazgowej kontroli, lecz także postawa jego mieszkańców często traktujących Ukrainę jako zagranicę. Taka postawa wynika w dużej mierze z historii tego regionu, który przecież nigdy nie wchodził w skład Ukrainy. Zakarpacie bowiem przez stulecia należało do Korony św. Stefana. To właśnie Węgrzy pozostawili po sobie najwięcej śladów na przykład w stolicy regionu Užohrodzie, gdzie do dzisiaj zachował się zamek, będący siedzibą tutejszego żupana sprawującego władzę nad tą ziemią z ramienia węgierskich monarchów. O odrębności świadczy też dobitnie fakt, że mieszkańcy wielu górskich wsi posługują się językiem niewiele mającym wspólnego z tym używanym współcześnie na lwowskich ulicach. Istotne znaczenie ma również fakt, że Zakarpacie od stuleci było krajem wieloetnicznym: oprócz Rusinów i Węgrów na tym obszarze mieszkali liczni Wołosi, Niemcy, Słowacy, Żydzi czy też Polacy osiedlający się tutaj w XIX wieku.

Dla miejscowych Rusinów szczególnie trudnym okresem były lata po 1867 roku, kiedy to tereny te zostały bezpośrednio podporządkowane władzom w Budapeszcie, które w przeciwieństwie do władz wiedeńskich prowadziły politykę madyaryzacji i zwalczania wszelkich odrębności narodowościowych. Wszystko to spowodowało, że tutejszym Rusinom nie udało się wykształcić odrębnej warstwy inteligenckiej. Tutejsza społeczność aż do wybuchu wielkiej